

Wiech
Opowiadania przedwojenne

Tom X
Wytworny rzeźnik

Wiech

Stefan Wiechecki

Wytworny rzeźnik

czyli
opowiadania sądowe

Zebrał i opracował
Robert Stiller

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia
objaśniono w słowniczku na stronach 131–134

Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.

Antoni Słonimski

Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.

Michał Choromański

Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.

Maria Jasnorzewska

Drastyczne pytanie

Z baru „Pod Bukietem” na Nowym Świecie wyszli z pieśnią na ustach jacyś dwaj panowie. Prześpiewawszy refren dwukrotnie, poczęli machać rękami we wszystkie strony, wydając jednocześnie dźwięki popularnie zwane psykaniem. Na to hasło w pełnym galopie podjechały trzy dorożki i cztery taksówki. Ponieważ pasażerowie nie mogli długo się zdecydować, w którym wehikule zająć miejsce, powstał z tego powodu spory zator, który utrudnił wyjazd śpieszącemu do pożaru nowoświeckiemu oddziałowi straży ogniowej.

Wytworzyła się sytuacja niezwykle zawikłana. Dorożkarze, pałac z batów, nie chcieli ustąpić koncertującym na klaksonach szoferom, trębacz straży ogniowej grał na kornecie larum, a panowie spod „Bukieta” spierali się między sobą:

– Józiu, pojedziemy dorożką!

– Nnnie chcę! Jako człowiek postępowy, dążę do motoryzacji kraju i muszę popierać taksówki. Sałaty wont!

Zamieszanie przed restauracją sprowadziło wreszcie przedstawiciela władzy w osobie pana posterunkowego Rosołka, który kilkoma poruszeniami magicznej białej pałeczki rozwiązał węzeł komunikacyjny, spychając na boki taksówki oraz dorożki i przepuszczając straż ogniową.

Po załatwieniu tej najpilniejszej sprawy pan posterunkowy Rosołek podszedł do niezdecydowanych pasażerów i zapytał:

– Czym panowie właściwie chcecie jechać?

– Właśnie... że sami nie wiemy... może pan szanowny nam coś doradzi? W dorożce będzie więcej powietrza... ale trzeba popierać motoryzację. Z drugiej znowu strony... spać nam się chce jak cholera i najprędzej byśmy byli w domu za pomocą straży ogniowej.

– Ale cóż, kiedy odjechała.
– Wobec tego pewnie pojedziemy tramwajem. Cześć, panie władzuchno!

I dwaj podróżni udali się pieszo na przystanek tramwajowy. Ale w ślad za nimi pociągnęła cała karawana pojazdów, w nadziei, że przecież się rozmyślą.

Na przystanku utworzył się w chwilę później nowy zator, który sprowadził pana posterunkowego po raz drugi.

Teraz pałeczka pomogła tylko częściowo, bowiem znalazł się wśród szoferów pan Sylwester Aniołkowski, który ani rusz nie chciał ustąpić, utrzymując, że on, jako najpierw wezwany przez pasażerów, ma niczym nieobalone prawo odwieźć ich do domu, względnie do kolejnego zakładu gastronomicznego.

Między automobilistą i policjantem powstała na tym tle kontrowersja, podczas której padło drastyczne zapytanie:

– Czyś pan na głowę upadł?

Przedstawiciel władzy czuł się tym dotknięty i sporządził na szofera protokół.

W sądzie grodzkim obrońca kierowcy usiłował udowodnić, że przecież w takim pytaniu nie ma właściwie nic obrażającego, chodziło bowiem tylko o poinformowanie się, czy posterunkowy nie miał wypadku połączonego z upadkiem na głowę.

Sąd stanął na stanowisku, że tego rodzaju pytania w stosunku do przedstawiciela władzy są jednak niewłaściwe i skazał ciekawego kierowcę na jeden miesiąc aresztu.

Pamiętka z Bielan

Idąc śladem praojców pan Konstanty Duch w drugi dzień Zielonych Świąt ubiegłego roku zapakował do kosza od bielizny przyzwoity baleron, dwa kilo kiełbasy, trzy babki domowego wypieku, słoik z ćwikłą, korniszony, garnek flaków z pulpetami oraz tuzin kwaszonych ogórków.

Luki zapełniły butelki wódki.

Po ukończeniu przygotowania pan Konstanty na czele bliższej i dalszej rodziny udał się statkiem na Bielany.

Zażywszy dorocznych rozkoszy odpustowych, po zlikwidowaniu połowy ogólnej zawartości kosza, rodzina legła w cieniu odwiecznych dębów, wspominając przedwojenne czasy. Najwięcej na ten temat miał do powiedzenia najstarszy w tym gronie wuj pana Konstantego, pan Walery Buraczewski, i byłby niezawodnie powiedział, gdyby nie to, że przez cały czas męczyła go uporczywa czkawka. Toteż opowieść o starej Warszawie ulegała częstym przerwom.

Wyglądało to mniej więcej tak:

– Hej czasy, czasy dawniejsze, które wy się już nie wróciacie... eu!... ktoś mnie wspominał... Takie na ten przykład Bielany, czy to som teraz Bielany... cholere w bok... euu!... a to mnie spomina!... Saski Ogród, Łazienki, jak pragnę zdrowia, ale nie odpust. Dawniej pod każdym drzewem obowiązkowo dwóch, trzech pijanych leżało, ale jak byli pijane... biała gorączka szczeniak!

Pod karozelom albo diabelskim młynem przechodzić było niebezpiecznie... naród mgliło, a on jeździł, jeździł!... euu!... nic, tylko moja nieboszczka Józia... mnie spomina...

A jak się leli, jakie nieporozumienia zachodzili... trzy karetki pogotowia tam i nazad kursowali.

Umiął się naród bawić, nie to co dziś... eu!... Józia, daj spokój!

Pan Konstanty pasjami lubiał słuchać tego rodzaju historyj, jednak zbyt częste przerwy, spowodowane cierpieniem krewnego, psuły mu wrażenie, toteż po chwili zauważył cierpko:

– Albo wujo barłożysz, albo czkawkę odwalasz... jedno z dwóch... ni to, ni sio z tego wychodzi.

– Kostek, dla siwego włosa szaconku nie masz, ciocię Józję nieboszczkę w tromnie niepokoisz. Spomina męża, żeby dziadom za jej duszę ofiarował... takie jest krześcijańskie prawo! – zrobiła małżonkowi uwagę pani Duchowa.

– Jaka tam ciotka, korniszony się dziadowi bekają, bo towarzyskiego wychowania nie ma, na czczo taki kwas opycha.

– Było nie było, trza znaleźć radę. Zawsze rodzina! – wtrącił pojednawczo jeden ze szwagrów. – Na czkawkę nie ma jak danego osobnika przestraszyć. Wujo za grabarza na Bródnie robi w nocy, na cmentarzu sypia... A może by zająć po cichu od tyłu i w mordę go strzelić?

– Myśl jest niezła.

Czkawka tymczasem w panu Walerym szalała. Biedny człowiek, wstrząsany ustawicznymi drgawkami, był w rozpaczy: pił wodę, mleko... skutki były coraz straszliwsze.

Nagle podniósł się pan Konstanty, ukrył na chwilę za plecami szwagra, po czym jak błyskawica wyrznął wuja w ucho.

Czkawka ustała momentalnie, ale przestraszony pan Buraczewski kopnął stojący przed nim garnek z flakami, którego cała zawartość chlusnęła na nowiuteńki jasny garnitur i kanarkowe półbuciki narzeczonego panny Aurelci Duchówny. Młody człowiek, otarłszy twarz z pulpetów, spojrzął po sobie, jęknął głucho i lunął wuja z drugiej strony.

To było hasłem do ogólnej bójki.

Zadawnione animozje rodzinne odżyły. Każdy uznał moment za odpowiedni do wyregulowania starych porachunków. W powietrzu latały butelki, baleron i figurki z napisem: *Souvenir de Bielany*.

Prawdziwą jednak pamiątką rodzinną, związaną z tym uroczystym dniem, będzie obszernie motywowany wyrok sądu grodzkiego, w którym czyny każdego z uczestników bezstronnie zostały opisane i wyróżnione bądź grzywną w granicach od 20 do 50 złotych, lub też aresztem od trzech dni do tygodnia.

Gdzie jest prześcieradło?

Pani Zofia Wąsowska przyjęła nową służącą o ujmującej powierzchowności i takimże nazwisku. Imię harmonizowało z całością, która tworzyła miłą postać panny Agnieszki Kwiatek, do wszystkiego.

Panna Agnieszka była osobą niesłychanie energiczną, wszystko paliło jej się w rękach, i to do tego stopnia, że pani Wąsowska nie mogła się wkrótce doliczyć połowy swej zastawy i kryształów. Ponieważ jednak Kwiatek nie oponował przeciwko wytrąceniu z pensji równowartości sześciu kieliszków od wina i dwóch od wódki, pozostał nadal w służbie.

Wówczas zaczęły się cuda dematerializacji. Mamusia pani Zofii postradała piękną koszulę dzienną z aplikacjami, za którą w ślad przepadł wkrótce obrus na dwanaście osób.

Pani Wąsowska cierpiała i wpisywała szkody do książki, Kwiatek zaś działał w dalszym ciągu.

Przebrała się wreszcie miarka. Przepelnił ją lakier do paznokci. Pani domu, wchodząc pewnego wieczora do kuchni, poznała charakterystyczną jego woń. Spojrzała na piękną służącą i zamarła z przerażenia.

Włosy Agnieszki stanowiły jak gdyby zastygłą pod ręką artysty rzeźbę. Całkowicie pokryte były warstwą lakieru.

– Coś ty, idiotko, z siebie zrobiła?

– A czo się ształo?

– Głowę wysmarowałaś lakierem od paznokci! Wszystkie włosy ci wylecą! Nie zmyjesz już tego!

– O, nieszczęśliwa moja godzina! Ja myślałam, że to perfonny na poroszt włosów!

Nieporozumienie polegało na tym, że panna Kwiatek, gospodarując jak u siebie na toalecie swej pani, pomieszała flakoniki z lakierem i wodą kolońską.

Przy pomocy zaalarmowanych z całej klatki schodowej koleżanek panna Agnieszka zdołała wreszcie zmyć jako tako lakier ze swych włosów. Ale z mokrą jeszcze głową musiała opuścić posadę, gdyż pani Zofia mogła zapomnieć o kieliszkach i prześcieradle, jednak bobrowania na toalecie nie przebaczyłyby nigdy.

Ponieważ psotna Agnieszka nie zgadzała się na pokrycie należności za rzeczy, które zaginęły, i zaskarżyła swoją panią do sądu pracy o zatrzymanie pensji, pani Wąsowska z kolei zrobiła doniesienie do policji i służąca stanęła wczoraj przed sądem grodzkim.

Wyrok był surowy, a zarazem łagodny: sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem na dwa lata.

Niewidomy kochanek

Pan Szczepan Popielnik, mistrz kunsztu tapeciarskiego, jest zakochanym i wściekle zazdrosnym mężem, ale tylko po pijanemu co prawda. W rzadkich chwilach trzeźwości ma do swej dożgonnej towarzyszki życia nieograniczone zaufanie. Za to lekko nawet podgazowany zamienia się w prawdziwego Otella.

W takim właśnie nastroju wracał kiedyś pan Szczepan do domu. Otworzywszy drzwi po ciemku własnym kluczem, nieszczęsny mąż rzucił okiem na łóżko żony i bolesny skurcz przeszył mu serce. Łoże było puste i starannie zasłane, jakby się nikt na nim nie kładł.

Spojrzał na rodzinny szafkowy zegar regulator, który wskazywał godzinę czwartą, i zalał się łzami.

A więc jest zdradzany! Po dwudziestu latach taka straszna spotyka go niespodzianka. O czwartej rano żony jeszcze nie ma w domu!

Biedny człowiek, zupełnie złamany, usiadł obok pustego łóżka niewiernej i oddał się najczarniejszym myślom.

– Nie mam innego wyjścia, tylko muszę ją zabić, albo poniekąd złapać za kok i dotąd w perełki walić, aż powie, kto jest tem kochankiem!

Musi to chyba być jakiś ociemniały, skoro jeżeli na takie kalikaturę jak Julcia leci... Ale nie, ślepy ma podobnież czucie w rękę i kurzajkie na jej nosie by wymacał. Znakiem tego inwalida to jest bez górnych końcówek. Ofiara wojny europejskiej... Wszystko jedno, ofiara nie ofiara, nie ma prawa cudzej żony... za kurzajkie trzymać... do czwartej rano...

A może bidak nie ma zegara?

To kup sobie łobuzie zegar... a męża nie dręcz!

Gdy rozpacz pana Popielnika osiągnęła punkt kulminacyjny, przyszła pani Julia. Jakby nigdy nic położyła na krześle zawiniątko i poczęła zdejmować śniegowce.

Pan Szczepan jęknął głucho i głosem, w którym brzmiała bolesna skarga, zapytał:

– Żono kochająco, gdzie byłaś, cholero!

Niewierna, zamiast się tłumaczyć, wybuchnęła tylko ironicznym śmiechem i odburknęła, że była w maglu.

Tego zhańbiony mąż miał dosyć. Jakież to magle są otwarte do czwartej rano? W przystępie rozpaczy zerwał ze ściany regulator i począł nim walić wiarołomną żonę, gdzie popadło. Gdyby nie ratunek, z którym nadbiegli sąsiedzi, pani Julia niewątpliwie zginęłaby z ręki męża. A tak poleżała tylko dwa dni w łóżku i pośpieszyła do sądu złożyć skargę.

Na rozprawie pan Popielnik oświadczył, że cofa swe zarzuty oraz uderzenia regulatorem, gdyż padł ofiarą pory roku. Wczesny grudniowy zmrok bowiem sprawił, że czwartą po południu wziął za poranek. Ponieważ pani Julia stwierdziła, że również nie ma już pretensji do męża, gdyż czynami jego kierował głos zbolełałego serca, sąd sprawę umorzył.

Wypadek powyższy niewątpliwie stanie się ważkim argumentem w rękach zwolenników wprowadzenia zegara dwudziestoczworgodzinnego.

Koń i wół

Koń odgrywa w życiu pana Edwarda Śmieciszewskiego dominującą rolę niemal od zarania dni jego. Już jako cicho kwilące niemowlę w różowej poduszce zawieszony został konną dorózką do chrztu.

W jakiś czas potem wstąpił do jednego z pułków kawalerii, by konno odsłużyć powinność wojskową. Jeszcze później przegrał 120 złotych, stawiając całą posiadaną gotówkę na pewnego dwulatka, który zawiódł pokładane w nim nadzieje. I wreszcie w wieku dojrzałym koń zaprowadził go przed kratki sądowe. Albowiem piękna zrazowa z kwiatkiem, sprzedana przez pana Edwarda właścicielowi kawiarni przy ulicy Wspólnej, okazała się autentyczną koniną.

Ostatecznie nikt nie miałby do pana Edwarda o to żalu, gdyż konina po ugarniowaniu jej artystycznie pokrojoną cebulką i należycie przysmażona daje podobno w wyniku befsztyczek równie smaczny i efektowny jak wołowina. Przyczepiono się do pana Edwarda tylko o to, że nie zdradził szlacheznego pochodzenia mięsa kawiarniowi i zainkasował należność w takiej sumie, jak gdyby dostarczona pieczeń za życia była wołem.

Przed sądem ufny w słusność swej sprawy pan Śmieciszewski nie stracił ani na chwilę pewności siebie i uzasadniał prawość swego czynu w sposób następujący:

– Nie rozumię faktycznie, o co się, proszę najwyższego sądu, rozchodzi. Rzeczywiście poniekąd ma się rozumieć sprzedałem końskie zrazowe temu panu, ale ja wcale nie zaznaczałem, że to ma być wołowina. Jeżeli o mnie chodzi, to wołę zrazik nalesoński czyli tyż polędwiczkie z garniturkiem z młodego ogierka aniżeli ze starego byka.

Teraz co do ceny. Koń koniowi nie równy. Wiadomo, że znajdują się w handlu stare wyjeżdżone dorożkarskie sztuki po 60 groszy za kilo, ale dobrze utrzymany wyścigowy arabek musi kosztować swoją złotówkę.

Zrazowa, którą miałem zaszczyt sprzedać temu panu, pochodząca była z pierwszorzędnego karego wałacha, który chodził przez czternaście lat w karabanie. Jako magistracki żałobny funkcjonariusz koń taki się nie napracował i mięso miał z prima gatunku. Cena znakiem tego była uczciwa!

Podczas tego przemówienia piękna protokolantka zbladła wyraźnie. Kilka osób spośród publiczności śpiesznie opuściło salę, a sąd szybko ferował wyrok uniewinniający, zaznaczając potem w krótkich motywach, że oszustwa panu Edwardowi nie udowodniono, gdyż nie usiłował on swego rumaka stroić w wołowe piórka.

Wróg hałasu

Pan Jan Chryzostom Ciszek, uzdolniony kamasznik, jest warszawiakiem z dziada pradziada i kocha naszą piękną stolicę. Nic zatem dziwnego, że drogie mu jest jej dobre imię i że całym sercem garnie się do każdej akcji zmierzającej do zeuropeizowania naszych nie zawsze europejskich stosunków.

Jedną z plag Warszawy jest uliczny hałas w nocy.

Walka z nim stała się obowiązkiem każdego obywatela i pan Ciszek rozpoczął ją z całą bezwzględnością. Zajmując apartament frontowy w domu nr 15 przy ul. Kaczej dzielną wróg hałasu sze-

reg nocy przesiedział przy oknie, aby w razie usłyszenia najmniejszej nawet wrzawy wystąpić energicznie przeciwko gwałcicielom spokoju.

Ponieważ jednak ulica Kacza jest jedną z mniej ruchliwych arteryj, pan Jan Chryzostom długo nie mógł znaleźć odpowiedniego momentu do rozpoczęcia działalności.

– Cicho jest jak cholera! – narzekał sobie pewnego razu i już chciał się położyć spać, gdy nagle usłyszał na dole gwar głosów.

Wyrzał szybko przez okno i zobaczył pod latarnią dwu panów, ściskających się czule i składających sobie śluby dozgonnej przyjaźni.

– Ach, wy moczymordy, psia wasza nędza, alkoholiki monopolowe! Będziecie cicho czy nie? – krzyknął pan Ciszek groźnie.

Ale pijacy nie zwrócili na to najmniejszej uwagi i nadal dawali upust swym wzmożonym uczuciom.

– Nie? – ryknął wobec tego apostoł spokoju. – To ja się tu z wami zaraz ożenię. – I porwawszy z własnego okna doniczkę z fuksją pan Ciszek rzucił nią w hałasujących osobników.

Ponieważ niezbyt dobrze wymierzył cios, fuksja opasawszy łuk w powietrzu trafiła wprost w gazową latarnię, z której z brzękiem wypadły wszystkie szyby.

Awanturnicy spojrzeli wówczas w górę i poczęli się przekomarzać z panem Ciszkiem na temat wolności słowa mówionego w Polsce.

Widząc, że dyskusja z opojami do niczego nie doprowadzi, pan Jan rzucił w nich następną fuksją i dwiema pelargoniami.

Obwiesie, zamiast się uspokoić, podjęli z ziemi szczątki doniczek i poczęli odrzucać je panu Janowi. Ponieważ jednak człowiek zatruty alkoholem nie odznacza się zbytnią celnością, obu pociski trafiły we wszystkie okoliczne okna. Rezultat był taki, że wkrótce mieszkańcy całego domu zerwali się na równe nogi, wybiegli na ulicę, pobili do utraty przytomności pijaków, a pana Jana oddali w ręce policji.

Ustalonym porządkiem rzeczy obrońca ciszy i dwaj jej gwałciciele stanęli przed sądem i wszyscy otrzymali po tygodniu aresztu.

Wyrok przepelił niezmierną goryczą serce pana Ciszka, który zawołał:

– Jak to? Ja do mamra! Za co? Za to, że walczyłem z zabrudzeniem publicznego spokoju? Za to, że plamę z Warszawy zmyć chciałem? Medal mnie się za to należy!

Istotnie w tych warunkach trudno liczyć na współdziałanie obywateli z Komisją Zwalczania Hałasu Ulicznego.

Dowód pamięci

Przed sądem grodzkim przy ul. Długiej rozegrała się wczoraj wstrząsająca tragedia rodzinna. Przy pulpicie oskarżonego stanął młody o sympatycznej powierzchowności chłopiec, któremu zarzucono dokonanie kradzieży kaczki, należącej do sąsiadki.

Ostatecznie nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Młodzi ludzie mają czasem palące potrzeby, dla załatwienia których nie cofają się przed zdefraudowaniem cudzego mienia, zwłaszcza gdy biega ono bez dozoru po podwórzu i kusząco kwacze. Tragiczny podkład całej sprawy mieścił się w tym, że młodzieniec został wydany sprawiedliwości przez rodzzonego wujka, który niepomny na więzy krwi osobiście zaprowadził go do komisariatu. Prawy choć okrutny krewny, pan Konstanty Bańka, w poniższych słowach opowiedział sądowi o powodach, które go do tego kroku zmusiły.

– Nie mogłem, proszę najwyższego sądu, znieść hańby, jaką ten dany osobnik, mój siostrzeniec Aleksander Walendziak, na nasz dom sprowadził.

Wychowywał się u mnie od małego. Dałem mu staranne wykształcenie, kupiłem łyżwy, zapisałem go do czytelnicy i nieraz mu mówiłem: „Pamiętaj, Oleś, że cudza własność i rodzinne ognisko to rzecz święta. Kradnij, gdzie chcesz, ale nie w tem domu, w którym mieszkasz.”

Ostatecznie rozumiem, że młodziak może się zapomnieć i przez roztargnienie zdjąć bieliznę z góry nawet w rodzinnym domu, ale żeby na głupią kaczki polecieć i wujkowi wstydu narobić, na to trzeba być wyrzutkiem społeczeństwa. Znakiem tego w imieniu całej naszej famielii wyrzekam się jego i proszę pana sędziego o ciężki wyrok, żeby pamiętał, że tak się nie robi.

Oskarżony ze łzami w oczach wysłuchał przemówienia wuja, ale w ostatnim słowie usiłował nieco inaczej przedstawić powody, którymi kierował się moralny krewny. Zdaniem lekkomyślnego młodzieńca wujowi chodziło o to, że siostrzeniec zaniósł kaczkę do domu przyjaciół i tam ją w całości skonsumowano, nie posyłając rodzinie pana Olesia najmniejszego nawet do wodu pamięci choćby w postaci szyjki, żołądka czy wątróbki.

Ponieważ zaś wuj Bańka uwielbia rosół z kaczych dróbek, stąd jego zawziętość.

Sąd nie zastanawiając się dłużej nad motywami, którymi kierował się pan Konstanty, skazał jego siostrzeńca na trzy miesiące aresztu z zawieszeniem kary.

Szczyt oszczędności

Panowie Julian i Aleksander Milewscy, właściciele domu przy ul. Birżańskiej, pobili rekord oszczędzania. I tylko jakimś niewybaczalnemu niedopatrzeniu zawdzięczać chyba można, że nie otrzymali w tegorocznym Dniu Oszczędności pierwszych nagród i dyplomów najoszczędniejszych ludzi w Polsce.

No, bo że ktoś oszczędza pieniądze, gaz, elektryczność, parasol czy kalosze, to żadna sztuka.

Ale proszę pokazać w Warszawie drugich dwu obywateli, którzy oszczędzaliby na świetle dziennym wykonując trudną pracę przy księżycu!

Panowie Milewscy to robili i – o zgrozo! – zamiast należnego wyróżnienia otrzymali po miesiącu aresztu. Sprawa jest zbyt ważna i zbyt bolesna, żeby nie podać jej przebiegu do wiadomości ogółu obywateli.

Pewnej nocy lokator domu panów Milewskich, pan Konstanty Sucharski, ceniony pracownik firmy „Singer” zerwał się z łóżka, zbudzony straszliwym łoskotem nad swą głową.

Spojrawszy w górę, pan Konstanty zamiast sufitu ujrzał nad sobą firmament niebieski usiany gwiazdami i ozdobiony księżycem w pełni. W pierwszej chwili pan Konstanty przeraził się niesłychanie, bowiem pomyślał, że został w nocy powołany do

lepszego życia i znajduje się w drodze do nieba, ale skonstatowawszy brak anielskich skrzydełek na swych plecach wyskoczył z łóżka i podbiegł do dziury w suficie, przez którą ujrzał obydwu kamieniczników, pracujących w pocie czoła nad zrywaniem dachu.

– Co się tam dzieje, do cholery? – zapytał ich grzecznie ale rzeczowo.

– Nie widzisz pan? Dach zrywamy, bo przeciekał.

– O trzeciej w nocy?

– A tak, trzeba księżyc wykorzystać – odpowiedzieli razem panowie Milewscy i puścili w ruch oskardy ze zwiększoną energią.

Pan Sucharski wrócił na chwilę do łóżka, ale ponieważ promienie księżyca świeciły mu wprost w oczy, huk zaś niemiłe wpadał w uszy, utrudniając ponowne zaśnięcie, po krótkim namyśle ubrał się, wyprowadził z komórki wierny rower, by jak strzała pomknąć do komisariatu.

W bramie jednak natrafił na nieprzewidzianą przeszkodę. Panowie Milewscy zleźli tymczasem z dachu i usiłowali wyperswadować lokatorowi mieszanie policji w sprawy wewnętrzne kamienicy. Ponieważ pan Sucharski był głuchy na wszelkie argumenty, postawili sprawę jasno, dając mu trzy czy cztery razy po głowie pękniętą dachówką.

Zrodziło to proces sądowy, zakończony wyżej wspomnianym wyrokiem, z którego widać, że sądy nasze nie doceniają wielkiej idei oszczędności, skoro karzą tak wybitnych jej pionierów.

Za małe wiano

– Panie Szponderek, dlaczego pan o szczęściu w małżeńskim stanie nie pomyślił?

– Niby jak to?

– Niby tak to, że karierę jako młodożeniec możesz pan zrobić. Mam dla pana kuchnię jedne bardzo formalne. Zamożna, robotna, tyrać będzie jak koń za pana i za siebie i ślubnemu małżonkowi kotlety odpalać, rzecz wiadoma!

Poniekąd że u Żydów służy, ale się pan do starozakonnego żarcia wzwyczajasz, podobnież nawet zdrowsze, z powodu że Izraelity woła czyli tyż cielaka od frontu tylko pod konsumcję uwzględniają, jako że ta część nic wspólnego z naturalną potrzebą jest nie mająca. Wszyscy wiedzą, że bydlak tylko trawę i siano opycha, ale w każdym bądź razie czasem przy jedzeniu pomysleć nieprzyjemnie, co się w gębach trzyma.

– Faktycznie koszerne menu więcej eleganckie. A ta owa kuchta forse ma?

– Dwa tysiące leżącą gotówką, tylko że trochę dziobata.

– Nie przeszkadza. Charakter grunt. Pierwsza zapowiedź może być w niedzielę.

– No to idziem do narzeczonej.

Powyższą rozmowę prowadzili w barze „Pod Szopenem” dwaj znajomi, panowie Ambroży Kowalik i Wincenty Szponderk. Owocem jej były w pięć minut później uroczyste zaręczyny z panną Agnieszką Fijołek, zatrudnioną u państwa J. na ulicy Piusa XI.

Konkury nie potrwały długo. Pan Wincenty obejrawszy kandydatkę rzekł:

– Owszem, będziesz panna Agnieszka na taki użytek się nadawała, jeżeli z forszą lipy czyli pucu nie ma.

Natychmiast dano na zapowiedzi.

Po pięciu tygodniach miał być ślub... i nie było.

Powody narzeczeni wyjaśniali przed sądem grodzkim.

Panna Agnieszka, lat 39, w te mniej więcej słowa opowiedziała sądowi dzieje swej miłości:

– Wszystko, proszę najwyższego sądu, było gotowe. W welonie białem z tem ślubnem bukietem czekałam u państwa Kowalik.

Zaproszone goście z nudów zaczęli przekąszać, kto korniszonem, kto cynaderką, bo dania byli odpowiedzialne. I co się robi, pan Wincenty przysyła przez dozorcęgo list, że żenić się nie będzie, bo wyjeżdża.

I faktycznie że wyjechał, a pieniądze wybrał ode mnie 250 złotych z groszami. Garnitur miał sobie sprawić za sto złotych, ale nie kupił, tylko od kolegi pożyczył i mnie przyniósł, pokazał. Pieniądze na jesionkie przegrał w trzy lusterka.

Z dalszych słów rozgoryczonej oblubienicy wynikało, że pan Wincenty, szykując się do ślubu, nabył tylko kołnierzyk i białą muszkę, a resztę pieniędzy roztrwonił.

Oskarżony tłumaczył się, że przede wszystkim po bliższym obejrzeniu panna Agnieszka okazała się nierównie więcej dziobata niż na pierwszy rzut oka. A poza tym z posagiem była gruba przesada, on zaś nie wyobrażał sobie małżeńskiego szczęścia bez owych 2000 złotych.

Mimo to rzecznik skarżącej wyjednał dla pana Wicusia u sądu sześć miesięcy więzienia.

Pomyłka życiowa

Na pierwszej ławce w przytulnej sali sądu grodzkiego przy ul. Złotej siedzieli trzej panowie w brązowych reglanach, skrojonych według mody ustalonej na bieżący sezon przez Departament Więziennictwa Ministerstwa Sprawiedliwości. Dwaj z nich boczyli się na siebie, jak gdyby wskutek zadawnionej waśni, trzeci przypatrywał się im i przysłuchiwał oderwanym zdaniom, które od czasu do czasu zamieniali, a wreszcie zagadnął bliżej siedzącego, szczupłego blondyna o marzących oczach.

– Pan szanowny faktycznie jakiś żal odczuwa do koleżki?

– Wiadomo! Przez niego, pętaka, sześć miesięcy młyna otrzymam.

– W jaki sposób?

– W taki sposób, że pracować się łobuzowi nie chciało. Robotę dałem jak złoto, tylko trzeba było przypilnować, a ten cholera wszystko zepsuł. Wstydu mnie narobił w towarzystwie. Wszystkie znajome się śmieją. Nie wiem, jak się będę mógł pokazać na Pawiaku, o wiele nas tam posadzą.

– A detalicznie co się stało?

– Uważasz pan, spodobało mnie się mieszkanie jednego inżyniera na Koszykowej ulicy. Ładne obrazy olejne, dwie maszyny do pisania, sześciolampowe radio, w szafie pełno konfekcji męskiej, butów także samo z dziesięć par.

Jenżynier kawaler nie czasowy, w domu rzadko bywa, a kuchnię miał cholerę taką, że ciągle na rajcach u sąsiadów siedziała.

Na oko senne marzenie nie robota. Tylko przyjść i brać wszystko jak swoje.

Sam byłem ostatnio zapracowany i znakiem tego nie mogłem jak się należy dojrzyć. Kazałem mu. Przychodzi lebiega niewidymka jednego dnia i mówi, że wszystko gotowe.

Poszliśmy z narzędziami. Dzwonię. Dobra nasza! nikt się nie odzywa. Otwieram mieszkanie, wchodzę i jakby mnie kto nożem w samo serce sztukał. Pustynia, rozumiesz pan! Ani jednego grata. Lokator się wyprowadził, tylko gwoździe w ścianach i pluskwy się zostali.

Jestem człowiekiem nerwowym, jakżem to zobaczył, nie mogłem wytrzymać i wyrzłem go w ryja sakwożażem z przyrządami. Wart był czy nie?

– Owszem, nie można powiedzieć. Chociaż pomyłka życiowa każdemu jednemu może się przytrafić.

W tym miejscu sędzia przerwał niestety ciekawą rozmowę, wzywając przed swe oblicze niefortunnych współników, panów Ignacego Kaczora i Stanisława Bigosińskiego.

Pan Kaczor z rumieńcem wstydu przyznał się od razu do wszystkiego, prosząc o łagodny wymiar kary i zwalając całą winę na pana Bigosińskiego, który nie dość, że nie wykazał żadnej pracowitości, zamiast znieść w pokorze monit współnika, jeszcze krzykiem sprowadził dozorcę, który ich aresztował.

Sędzia stanął jednak na stanowisku, że wina obydwu panów jest jednakowa i skazał ich na 6 miesięcy więzienia.

Uwzględnił tylko drażliwe położenie pana Kaczora i w myśl jego życzeń skierował na odsiadkę do aresztu centralnego.

Niewinny baranek

Pan Anatol Kozik miał zadawnioną urazę do pana Stanisława Pajewskiego o trzy złote, pożyczone do jutra przed trzema laty.